

## Przebrany nacjonalizm



Latem 2013 roku wraz z grupą studentów prowadziłam badania etnograficzne w południowo-wschodniej Polsce. Przedmiotem naszych badań były lokalne narracje historyczne oraz polityka wielokulturowości, ich miejscem – niewielkie miasteczko, które w przeszłości zamieszkane było przez Polaków, Żydów i Ukraińców. Chcąc lepiej poznać etniczno-religijny krajobraz regionu, prowadziliśmy rozmowy z różnorodnymi ludźmi: nie tylko z miejscowymi politykami, historykami, pedagogami i księżmi, ale i ze sprzedawcami z lokalnego targu, rolnikami zamieszkującymi pobliskie wsie, kierowcami busów, którzy wozili nas po okolicy. Ku naszemu – początkowemu – zdziwieniu, pierwsza grupa rozmówców – czyli ludzie, którzy nie tylko reprezentują miejscową inteligencję, lecz także są odpowiedzialni za kształtowanie „polityki wielokulturowości” – otwarcie wyrażali ksenofobiczne i dyskryminujące poglądy w stosunku do Ukraińców i Żydów (lub, w „najgorszym” możliwym przypadku, wobec „Ukraińców o żydowskich korzeniach”), którzy to, zdaniem naszych rozmówców, „trzymają stery w szeregach lokalnych władz” i są odpowiedzialni za wszystkie polskie nieszczęścia. W przeciwieństwie do nich, „zwykli” mieszkańcy opowiadali nam raczej o dawnym, pragmatycznym współzyciu przedstawicieli różnych wyznań i grup etnicznych; mówili o Żydach jako zaradnych i pracowitych oraz chwalili sobie współczesne relacje biznesowe i handlowe z Ukraińcami zza pobliskiej granicy. Podczas gdy dla pierwszych mieszkańców słowa-klucze współczesnej polskiej polityki to honor i duma narodowa, dla drugich najistotniejszą była przede wszystkim niekompetencja władz państwowych w dziedzinie palących problemów społeczno-gospodarczych. Choć podział pomiędzy tymi dwiema grupami trudno uznać za jednoznaczny, stanowi on dobry punkt wyjścia do dyskusji na temat współczesnej polskiej polityki oraz zachęca do szerszej krytycznej refleksji na temat rozpowszechnionych wyjaśnień popularności radykalnej prawicy oraz nacjonalistycznych i populistycznych

ruchów w Europie Wschodniej. Uznawane za główne przyczyny tego zjawiska „bezrobocie”, „brak poczucia bezpieczeństwa” czy „wykluczenie społeczne” przypisywane są zazwyczaj mieszkańcom peryferyjnych, postindustrialnych regionów, „przegranym transformacji”; ludziom, którzy są „prości”, „niewykształceni” i podatni na manipulację.

Chcąc uzupełnić powyższy obraz, należy dodać, iż ksenofobiczne i dyskryminujące wypowiedzi, z którymi mieliśmy do czynienia podczas badań, również nie były jednorodne. Wśród naszych rozmówców było wielu pasjonatów historii – członków grup rekonstrukcyjnych, lokalnych klubów historycznych, pracowników urzędu miasta – którzy prezentowali nam własną wizję polskich dziejów. Zazwyczaj eksponowali oni krzywdy, jakie religijne i etniczne mniejszości wyrządziły polskiemu narodowi, podkreślali heroizm Polaków oraz otwarcie przekonywali nas, abyśmy zbyt nie ufali spotykanym nie-Polakom. Rozmawialiśmy jednak także z ludźmi, którzy uważają się i są uważani za lokalne elity – z profesorami, obieżyświatami, z potomkami szlachty – kreślącymi przed nami z niezwykłą elegancją i elokwencją – w moim odczuciu - bardzo zbliżoną – wizję polskich cierpień i polskiej świetności. Tymczasem studenci krytykowali pierwsze z narracji jako pełne uprzedzeń i groteskowe, drugie zaś uważali za obiektywne i przekonujące.

Współczesny dyskurs nacjonalistyczny w Polsce współgra z i jest wzmacniany poprzez dyskurs elit: ubrany jest w eleganckie i stylowe szaty, propagowany w sposób elokwentny i staranny, uzasadniany za pomocą naukowych danych i akademickich tytułów. Dyskurs ten budowany jest na szlacheckiej przeszłości, historycznych traumach i dawnej świetności. Znajduje propagatorów nie wśród politycznych ekstremistów ale wśród tych, którzy reprezentują centrum; definiują się jako „liberalni” a nie populistyczni; są głosem klasy średniej i miejskiej inteligencji. Dyskurs ten utrwała ideę Polaka-katolika, czyni to jednak w zawołany sposób: popierając „liberalne” skrzydło Kościoła i kpiąc z tzw. Kościoła „zamkniętego”. Dla wielu osób tego typu nacjonalistyczny kostium jest bez wątpienia bardziej atrakcyjny niż ten uosabiany przez kibica i kij baseballowy. Jest to nacjonalizm, który może łatwo pozostać niezauważonym wśród bardziej ekstremalnych form. Co decyduje o jego niewidzialności?

Gdy tylko mowa jest o polskim nacjonalizmie i prawicy, na pierwszy plan wysuwani są zazwyczaj Jarosław Kaczyński i Prawo i Sprawiedliwość, młodzieżowe ruchy odwołujące się do endeckiej ideologii oraz dynamicznie rozwijające się katolickie mass media. Z powodu ich moralnego konserwatyzmu oraz etno-nacjonalistycznej ideologii, zjawiska tego typu skazywane są przez zewnętrznych obserwatorów „na wymarcie”, albowiem prawdziwie „europejskie” i „nowoczesne” społeczeństwo – do jakiego aspiruje Polska – nie może popierać politycznego i społecznego integralizmu. Niedawne debaty na temat „ideologii gender” – nowego wymyślanego wroga polskiej prawicy i katolickiej hierarchii – brak dowodów potwierdzających „teorię smoleńskiego zamachu”, jak również trudności, z jakim przychodzi polskim biskupom akceptacja „rewolucyjnego” przesłania nowego papieża, tylko utwierdziły wielu w tym przekonaniu. Jednakże tego typu scenariusze nie biorą pod uwagę jednego czynnika, a mianowicie tego, że polskie partie prawicowe nie tylko zaspokajają egzystencjalne potrzeby pewnego odłamu populacji, któremu bliskie są ich przekonania, ale przede wszystkim służą innym partiom politycznym. Przede wszystkim zaś służą one rządzącej (w teorii: liberalnej i centrowej) partii, która lubi porównywać się z „ultraprawicą” i przedstawiać samą siebie jako diametralnie od niej różną. Kiedy bowiem uwaga społeczeństwa zostaje skierowana na dziwaczne wypowiedzi i propozycje partii prawicowych, łatwo jest przysłonić fakt, iż to ministrowie rządzącej, liberalnej partii promują patriarchalną ideologię i głosują za ograniczeniem praw kobiet; bronią katolickich hierarchów mimo dowodów nadużyć oraz mają obsesję na punkcie wizerunku Polski w

świecie w nie mniejszym stopniu niż ich koledzy na prawicy. Opinie owych polityków są niejednokrotnie zbliżone do tych, które możemy znaleźć na facebookowych stronach narodowców – ubrane są jednak w elegancki krawat i elokwentne słowa.

Podobne obserwacje dotyczące zacierania politycznych podziałów można poczynić w odniesieniu do mass mediów, które nie tylko szukają „winnych” według wyżej opisywanego klucza (biedni, wykluczeni, niewykształceni), ale także, mimo podkreślanych różnic, wykazują sporo podobieństw w promowaniu polskiego nacjonalizmu i wywoływaniu konfliktów. Pierwsze zjawisko, o którym warto w tym miejscu wspomnieć, jest znajome każdemu, kto czytając polską prasę bezskutecznie próbuje znaleźć w niej jakąś informację, która nie dotyczyłaby Polski. „Nowy prezydent USA? Ciekawe, czy zniesie wizy”; „Eksplodują bomby w Iraku i pięćdziesięciu rannych? A co z polskim kontyngentem?”; „Dramatyczna sytuacja na ulicach Kijowa? Ukraińcy są wdzięczni za polskie wsparcie!” „Nowy film na temat drugiej wojny światowej? Jak mało o sytuacji Polski!”. Paradoksalnie, bez względu na to, czy media krytykują czy też popierają postawy nacjonalistyczne, pokazują one wizję świata właśnie poprzez narodowe okulary, co niejednokrotnie stoi w sprzeczności z krytycznym, liberalnym podejściem, które mają teoretycznie upowszechniać. Oczywiście, nie może być mowy o zrównywaniu polsko-centricznego dyskursu z otwarcie ksenofobicznymi, rasistowskimi i antysemitycznymi poglądami, pojawiającymi się na stronach internetowych i w tytułach prasowych narodowych organizacji. Należy jednak podkreślić, że obydwa te dyskursy prowadzą do tego samego rezultatu, a mianowicie do mniejszej wrażliwości, mniejszego zainteresowania tym, co nie dotyczy „polskiej sprawy” i „polskiego interesu”.

Podobnie, oskarżając „innych” o promowanie wizji narodu, która wyklucza i dyskryminuje, wielu dziennikarzy i intelektualistów nie zdaje sobie - lub nie chce - zdawać sobie sprawy, iż sami walczą z nielubianymi ideami tą samą bronią, za której użycie krytykują swoich przeciwników. Publiczny dyskurs w Polsce jest bardzo agresywny; niewiele w nim miejsca na dialog i dyskusję i wydawać się może, że oponenti walczą ze sobą dla samej walki. Godnym uwagi przykładem mogą być obchody Dnia Flagi w 2013 roku, zorganizowane pod hasłem „Orzeł może”. Obchody te miały zachęcić do refleksji nad polskimi sukcesami, zmianami na lepsze, osiągnięciami kraju; na temat tego, co jednoczy polskich obywateli i może być źródłem dumy. W ramach obchodów zorganizowano między innymi radosny marsz oraz prezentację wielkiego orła z czekolady, przygotowanego przez fabrykę Wedla. Zyskawszy wsparcie polskiego prezydenta i różnych warszawskich mediów, obchody te były krytykowane od lewej do prawej i wywołały trwającą kilka tygodni debatę. Osobiście byłam mniej zaskoczona krytyką ze strony prawicy, dla której radosna forma wydarzenia była nie do przyjęcia (tam, gdzie mówi się o patriotyzmie i narodzie, nie ma przecież miejsca na humor i zabawę). Gdy jednak przeczytałam głosy z drugiej strony – głosy mówiące, iż inwestowanie pieniędzy w orła z czekolady w kraju, w którym wiele dzieci nie zna nawet smaku czekolady, jest nie do pomyślenia – uświadomiłam sobie, że w Polsce każde „jednoczące” ludzi wydarzenie z góry skazane jest na niepowodzenie. Ponownie mamy tu do czynienia z podobnym skutkiem dwóch, wydawać by się mogło, przeciwstawnych stanowisk. Bez względu na to, czy bezustannie podkreśla się polskie męczeństwo czy też cynicznie wyolbrzymia współczesne problemy, obydwa te głosy utrudniają tworzenie nowej, bardziej inkluzyjnej i pluralistycznej (czyli rozumianej jako akceptacja szerokiego spektrum przekonań) wizji narodu i społeczeństwa, która mogłaby stanowić antidotum dla wykluczającego, zamkniętego nacjonalistycznego myślenia.

Mówiąc o problemach społecznych, chciałabym na koniec wrócić do kwestii biedy i wykluczenia jako przyczyn poparcia dla nacjonalistycznych ugrupowań i prawicowego

ekstremizmu. Nie ulega wątpliwości, iż bezrobocie, niezrealizowane aspiracje i gospodarczy kryzys były w historii przyczyną masowych protestów oraz doprowadziły do władzy autorytarnych polityków – dojście do władzy przez Adolfa Hitlera i upadek republiki weimarskiej są tu oczywistymi przykładami. Nie ignorując tego argumentu, należy jednak przyjrzeć się bliżej kategorii „biednych” i „wykluczonych”, by wyjaśnić wiele nieporozumień. Raz jeszcze niedawne wydarzenie – marsz narodowców w Dniu Niepodległości, podczas którego dokonali oni aktów wandalizmu, zniszczyli własność prywatną i publiczną i zaatakowali rosyjską ambasadę – stanowi świetny przykład. Relacjonując przebieg marszu, media koncentrowały swoją uwagę na zamaskowanych młodych ludziach, ubranych w wojskowe kurtki i ciężkie buty, rzucających kamieniami i wykrzykujących rasistowskie hasła. Niektóre z prezentowanych w telewizji i prasie obrazów przywołały na myśl osiemnasto- i dziewiętnastowieczne opisy egzotycznych plemion i „dzikusów”, tworzone przez podróżnych i pierwszych antropologów. Polski „dzikus” uosabia najgorsze społeczne wady: antysemityzm, szowinizm, zacofanie, obskurantyzm. Dlaczego „dzicy” maszerują? Bo są biedni, wykluczeni, niewykształceni... Bez wątplenia dużo łatwiej jest zadowolić się tego typu wyjaśnieniem zamiast dostrzec, że wśród maszerujących narodowców znajdują się młodzi ludzie z trzema tytułami magistra, którzy maszerują, albowiem nie ma dla nich miejsca w aktualnie obowiązującym modelu gospodarczym i nie mogą realizować swoich aspiracji; dzieci z „dobrych rodzin” przywiązane do patriarchalnego porządku i konserwatywnych wartości; ludzie, dla których kult partyzantów i żołnierzy to hobby czy forma zbiorowej działalności; oraz ci wszyscy, do których po prostu trafia narodowa narracja o silnej Polsce – łatwo przyswajalna, gdyż serwowana młodym Polakom począwszy od szkoły podstawowej. Przyczyny dla których młodzi ludzie biorą udział w marszu są bardzo różne – nie jest moim celem zrównywanie tych motywacji ani tym bardziej kwestionowanie wzrostu rasistowskich, ksenofobicznych i anty-demokratycznych tendencji – należy jednak zaznaczyć, że różnią się oni między sobą, nie tworząc homogenicznej czarnej masy. W gruncie rzeczy, zarówno prawicowi ekstremiści, jak i ich krytycy budują idealistyczną wizję Polski, wykorzystując ten sam mechanizm: przypisując różnego rodzaju winy grupie, którą sami wykluczają z narodowej wspólnoty, oraz demonizujących „innych”.

Jako antropolog, spędziłam znaczną część moich studiów oraz pracy akademickiej przemieszczając się pomiędzy środowiskiem uczelnianym a różnego rodzaju terenami badawczymi, którymi były zazwyczaj tereny wiejskie i małe miasteczka. Patrząc wstecz, mogę bez wahania stwierdzić, iż słyszałam dużo więcej antysemickich żartów („to tylko żart”) i ksenofobicznych wypowiedzi („takie są fakty”) przy okazji konferencyjnych obiadów i dyskusji w uczelnianych salach niż podczas rozmów z „wykluczonymi” i „biednymi”. Chcę raz jeszcze podkreślić, iż nie jest moim celem kreślenie romantycznej wizji i idealizacja marginalizowanych ludzi, ani upraszczające porównania z żyjącymi w dostatku mieszkańcami dużych centrów (choć muszę przyznać, że jestem niezmiernie zaskoczona brakiem refleksji nad tym, iż demonizowani biedni i wykluczeni są z reguły zbyt zajęci walką o wiązanie końca z końcem, by brać udział w marszach i paramilitarnych organizacjach). Tym, co pragnę uwypuklić jest szkodliwość upraszczającego założenia, iż pewien styl życia, poziom zarobków i wykształcenie równają się otwartości, liberalnej postawie i postępowości. Mimo iż bezsensowność tego typu założenia wydaje się oczywista, jest ono ciągle powtarzane i reprodukowane.

Przyczynę, dla której tego typu rodzaj myślenia jest ciągle utrwalany, nietrudno zrozumieć: dużo łatwiej jest wyobrazić sobie „dzikusy” jako istoty zupełnie różne od nas. Łatwiej jest kupić mieszkanie na strzeżonym osiedlu, oddzielając się od „biednego tłumu”, i formułować diagnozy społeczeństwa z takiej perspektywy. Łatwiej jest rozprawiać o „braku edukacji”

zamiast proponować konkretne reformy system edukacji lub przyjrzeć się temu, jaki rodzaj wiedzy otrzymują w szkołach młodzi obywatele i przyszli wyborcy. Łatwiej przymykać oko na fakt, że edukacja ta przygotowuje żyzny grunt pod nacjonalistyczny sposób myślenia, który jest następnie wzmacniany poprzez polsko-centriczne media oraz wzrastającą populizację liberalnych dyskursów. Przede wszystkim zaś, jest dużo łatwiej widzieć „nacjonalistę” w gniewnym młodym mężczyźnie maszerującym ulicami stolicy zamiast dostrzec, iż kolega z pracy siedzący przy sąsiednim biurku (ten, który ma taką dobrą pamięć do żartów), „centrowy” polityk, szanowany profesor oraz sąsiad ze strzeżonego osiedla również może być – przebrany – „dzikusiem”.

*Z języka angielskiego przełożyła Autorka.*

*Artykuł ukazał się w piśmie Tr@nsit Instytutu Nauki o Człowieku w Wiedniu*

**Agnieszka Pasieka** jest doktorem etnologii, adiunktem w Zakładzie Badań Narodowościowych w Instytucie Sławistyki PAN, członkinią Otwartej Rzeczypospolitej.